

Szkoła

Przyglądam się szkołom, do których trafiają moi synowie i dzieci najbliższych przyjaciół. Jest gorzej. Wszechobecne testy, które miały zagwarantować sprawiedliwość - wzmocniły logikę taśmy produkcyjnej. Nauczyciele nie muszą już podejmować ryzykownych decyzji – schowali się za punkty. Mają spokój. Mają z głowy. Rządzą punkty, średnie, przeciętności, kalkulatory. Uczeń zdający egzamin to tylko numer - pisze Dariusz Karłowicz w książce pt. „Polska jako Jason Bourne” [<http://ksiegarnia.teologiapolityczna.pl/oferta/zycie-codzienne-idei/dariusz-karowicz-polska-jako-jason-bourne-/>]



Przyglądam się szkołom, do których trafiają moi synowie i dzieci najbliższych przyjaciół. Jest gorzej. Wszechobecne testy, które miały

zagwarantować sprawiedliwość - wzmocniły logikę taśmy produkcyjnej. Nauczyciele nie muszą już podejmować ryzykownych decyzji – schowali się za punkty. Mają spokój. Mają z głowy. Rządzą punkty, średnie, przełiczniki, kalkulatory. Uczeń zdający egzamin to tylko numerek - pisze Dariusz Karłowicz w książce pt. „Polska jako Jason Bourne”

Z wielkim trudem skończyłem szkołę średnią. Wywalany z klasy do klasy, cudem doczołgałem się do matury. W podstawówce jeszcze jakoś szło. Wszystko to, co daje rozgadany inteligencki dom pomogło mi jakoś prześlizgnąć się przez osiem dosyć jałowych lat. W liceum szybko zorientowałem się, że nie będzie łatwo. Nie pomyliłem się.

Szkoła zawsze wywoływała we mnie rodzaj głębokiej dezorientacji. Na lekcjach nigdy nie wiedziałem, o co chodzi, co było zadane, o co pytają i dlaczego właściwie robimy to, a nie co innego. Gamoń, wagarowicz, nieuk. Czułem się jak w samolocie - na przemian nuda i strach. Dziwny rytm 45-minutowych spotkań, który zabija resztki ciekawości i koncentracji - to gwarancja nudy. A strach? Dwóje, awaryjne egzaminy, prace wakacyjne, poprawki, obawa przed powtarzaniem klasy. Słowem - koszmar.

Do dziś nie mogę zrozumieć zdumiewającego pomysłu, żeby niewielki przecież materiał każdego przedmiotu dzielić na cztery lata. Skąd wziął się koncept, żeby jedną niedługą książkę rozdziobać na mikrorozdziały, a potem w malutkich odcinkach czytać tak długo, by nikt już nie wiedział, gdzie właściwie jesteśmy. Co zapamiętalibyście Państwo z książki, którą akurat czytacie, gdyby kazano Wam „przerabiać” ją w taki właśnie sposób? I to „przerabiać” na przemian z dziesięcioma innymi książkami? Przez cztery lata, dwa razy w tygodniu w sesjach nie

dłuższych niż trzy kwadransy. W Ludlumie by się człowiek pogubił, a co dopiero w chemii czy historii. Czy nie łatwiej za jednym zamachem przeczytać całość? Pamiętam ogarniające mnie zawsze zdumienie, kiedy przed egzaminem poprawkowym okazywało się, że kompletny materiał, który w ciągu roku wydawał mi się czymś nie do ogarnięcia, mieści się w jednym niezbyt grubym zeszycie pożyczonym od utalentowanej koleżanki. Może dlatego na studiach wszystko zrobiło się tak łatwe?

Nie lubię szkoły. Szkoła to wymysł pruski: masowa produkcja obywateli, podatników, urzędników, żołnierzy. System jak Forda. Taśma, która zakładać musi brak zasadniczych różnic między ludźmi, gdzie trzeba zignorować fakt, że uczniowie obdarzeni są odmiennymi rodzajami pamięci, typami uwagi, ciekawości. Standaryzacja, optymalizacja kosztów - tak, ta odpowiedź ma sens. Zwłaszcza jeśli wierzyć, że grupa zdolna poradzić sobie z wymaganiami szkoły rzeczywiście stanowi większość. Tylko co z resztą?

Nauczyciele? Poznałem fantastycznych. Jednak najlepsi zawsze uciekali od pruskich standardów. Jeśli jakoś skończyłem szkołę, to dzięki nim. Miałem szczęście. Po trzech latach znalazłem się w klasie utworzonej specjalnie dla - najdelikatniej mówiąc - nie radzących sobie z nauką i dyscypliną. Dlaczego dano nam szansę? Powinni nas wylać. Obiektywnie - tak, obiektywnie - nie spełnialiśmy wymagań. Co o ludziach i życiu wiedziała nasza wspaniała wychowawczyni - mądra Pani Profesor N. - kiedy odważała się uchylać obiektywne kryteria? Dzięki niej doszliśmy do matury, pokończyliśmy studia, pozakładaliśmy firmy i instytucje, napisaliśmy książki. Skąd wiedziała, że warto zaryzykować?

Przyglądam się szkołom, do których trafiają moi synowie i dzieci najbliższych przyjaciół. Jest gorzej. Wszechobecne testy, które miały zagwarantować sprawiedliwość - wzmocniły logikę taśmy produkcyjnej. Nauczyciele nie muszą już podejmować ryzykownych decyzji – schowali się za punkty. Mają spokój. Mają z głowy. Rządzą punkty, średnie, przeciętności, kalkulatory. Uczeń zdający egzamin to tylko numerki: kumoterstwo jest wykluczone. Nie brakuje mądrych nauczycieli, ale nie mogą już zrobić tego, co robiła pani profesor N. Nie mogą decydować.

Od lat w „Teologii Politycznej” prowadzimy seminarium filozoficzne. Przyjeżdżają na nie studenci z całej Polski. Przed przyjęciem przeprowadzamy rozmowę kwalifikacyjną. Nigdy nie pytamy o średnią z egzaminów ani o stopnie na maturze. Nie przeprowadzamy testów. To przecież niczego nie powie. Ciekawi nas człowiek, z którym spędzimy sporo czasu. Chcemy dowiedzieć się, dlaczego postanowił wziąć udział w seminarium, co go interesuje, jak myśli, jak mówi, czego chciałby się dowiedzieć.

Opowiadam o tym nauczycielowi znakomitego warszawskiego liceum. „Przecież - przekonuję - ktoś może potknąć się na testach. To się zdarza. Dlaczego polegacie Państwo głównie na punktach? Co z tymi, którzy mieli pecha?”. „Poleganie na sobie, na własnej mądrości i intuicji stwarza ryzyko subiektywizmu - słyszę. - Seminarium filozoficzne to jednak zupełnie co innego niż szkoła. My musimy być obiektywni, sprawiedliwi”.

Przyglądam mu się i widzę, że nie zasiałem nawet ziarna wątpliwości. Drodzy Nauczyciele, żeby nikt nie powiedział, że Was nie ostrzegałem. Kiedy się to już stanie, sami będziecie sobie winni. A jest to tylko kwestia czasu. Zastąpią Was roboty. Doskonale obiektywne, roboty rzecz jasna.

Dariusz Karłowicz

Felieton pochodzi z książki pt. „Polska jako Jason Bourne” wydanej przez Teologię Polityczną